

Honor i Ojczyzna



Wojciech Kossak (1856 - 1942) W GALOPIE, 1928 olej, płótno / 79 x 101 cm sygn.
l.d.: Wojciech Kossak / 1928.

Zdzisław Najder

Te dwa słowa można uznać za kluczowe dla całej tradycji etosu rycerskiego.

Honor i Ojczyzna. Wszywane na sztandarach, były - na mocy uchwały Sejmu Ustawodawczego - od roku 1919 dewizą Wojska Polskiego, odrodzonego po okresie zaborów. W roku 1943, i ponownie 1993, dodano do niej jeszcze słowo „Bóg”. Skąd się one wzięły? Z dewizy „Honneur et Patrie” na orderach francuskiej Legii Honorowej. Przecież nasi rodacy zaczęli walkę o odzyskanie niepodległości pod francuskimi sztandarami. Polacy, zaraz po Francuzach, są najliczniejszą grupą wśród

odznaczonych tymi sławnymi orderami, ustanowionymi przez Napoleona I.

W pierwszej wojnie stoczonej przez to wojsko, wielkiej rozprawie z bolszewicką Rosją, Francja była naszym jedynym, choć odległym, sprzymierzeńcem. Oba słowa mają za sobą długą historię, liczącą ponad dwa tysiące lat. Można je uznać za podstawowe dla całej, znacznie starszej, tradycji etosu rycerskiego. Etosu, to znaczy zespołu zasad i obyczajów, który największą rolę odgrywał w Średniowieczu, a w Polsce, na skutek jej szczególnych dziejów społecznych i politycznych, do połowy ubiegłego wieku. Etosu, który był od początku ściśle związany z zawodem żołnierza.

Zamierzam przyjrzeć się historii i odmianom tego etosu. Widzimy go we wczesnośredniowiecznej Francji i dziewiętnastowiecznej Polsce, w Japonii samurajów oraz na amerykańskim Dzikim Zachodzie. Proste pojęcia, które go zwykle opisują, takie jak odwaga, wierność, walka i wróg, przy głębszej analizie stają się paradoksami. A samo słowo „honor” bywa dziś przecież rozumiane na bardzo rozmaite, nawet sprzeczne sposoby. Niektórzy uważają je za anachroniczne, inni beztrąsko nim szafują.

„Ojczyzna” też nie jest pojęciem prostym do zdefiniowania. I bywa słowem trudnym do przetłumaczenia. Dość zauważyć, że Niemcy mogą je tłumaczyć jako „Heimat” albo jako „Vaterland” – a to jest co innego (i wyraz „Vaterland” jest dla nich trochę kłopotliwy). Natomiast w angielskim w ogóle nie ma porządnego odpowiednika, bo pseudosynonimy, takie jak sztuczne „fatherland” czy „motherland”, albo wieloznaczne „home” znaczy coś całkiem innego i budzi inne skojarzenia.

Słowa są stare, etos jeszcze starszy, ale ludzkie problemy, które się za nimi kryją, problemy decyzji moralnych, postaw i cech charakteru, wcale nie przebrzmiały. Od tysiącleci są przedmiotem poematów, rozpraw filozoficznych i powieści, obfitują w nie współczesne filmy. W realnym życiu stawali i stają przed nimi zarówno poborowi, jak i zawodowcy, zarówno żołnierze, jak, czasem zwykli ludzie w chwilach próby.

Chciałbym pokazać ogromne, dziś na ogół zapomniane, bogactwo tradycji etosu rycerskiego. Bez jego poznania trudno nam zrozumieć naszych przodków, nawet tych odległych ledwie o dwa pokolenia. A skróty i uproszczenia zubażają,

gmatwają, zaciemniają rzeczywistość.



Władysław Teodor Benda, plakat zachęcający do wstępowania do wojska polskiego, organizowanego przez Ignacego Paderewskiego w USA, dla odzyskania niepodległości Polski.

Profesor Zdzisław Najder

W 1976 roku założył podziemne Polskie Porozumienie Niepodległościowe. W latach 1982-1987 był dyrektorem Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, skazany w 1983 roku zaocznie na śmierć przez Sąd Wojskowy w Warszawie. W 1991 roku założyciel oraz I prezes Klubu Atlantyckiego, postulującego wejście RP do NATO.

Artykuł ukazał się w piśmie „Polska Zbrojna” nr 01 | 04 stycznia 2009 r.

Małe marzenia polskich artystycznych emigrantów



Felieton z Perth (Australia)

Adam Fiala

Artyści, poeci, muzycy polskiego pochodzenia na emigracji są w sytuacji Sienkiewiczowskiego Latarnika. No, z pewnymi różnicami. Latarnik miał latarnię i „Pana Tadeusza”, emigranci mają Internet, który ponoć zbliża, ale tylko wirtualnie. Ciągłe więc siedzą w wieży, tylko bez latarni. Oczywiście już teraz się nie używa modnego za Sienkiewicza słowa „obczyzna”, bo żyjemy w zglobalizowanym, a przede wszystkim etnicznym świecie. No właśnie. Etnicznym. Etnizm podobnie jak każda

dziedzina ulega modzie, są lepsi etnicy i gorsi, mniej lub bardziej cenieni.

Owszem Polacy mieli swoją kartę i uznanie za czasów Wałęsy i bliskiej Solidarności. Ale i z Wałęsą obecnie coś nie tak. Nie tylko posiwiiał, ale też posiwiały jego szczytne idee zwłaszcza osobiste. Wałęsa był atutem, a stał się poniekąd problemem. Niektórzy twierdzą, że brak mu odwagi, którą się tak dawniej szczycił. Ale nie tylko Wałęsa. Polski rząd też nie jest popularny. Rzutuje to oczywiście na ogólną sytuację Polaków, a zwłaszcza pisarzy i artystów za granicą. Na pewno nie należymy teraz do ulubionej grupy etnicznej w Australii.

Ulubionymi są oczywiście tak zwani Pierwsi Ludzie tego kontynentu czyli Aborygeni stanowiący trzy procent społeczeństwa australijskiego. Dalej widzę mieszkańców Afryki, pozytywnych Syryjczyków, którym ich Wiosna Ludów się kompletnie nie udała, zaś Polacy są obecnie jakby na samym końcu tabelki. Stąd prośba. Polska mogłaby zwrócić trochę uwagi na ludzi twórczych, którzy paradoksalnie mieli swoją pozycję za czasów komuny. Wtedy ciągle słyszałem, że Polska liczy się kulturalnie w Europie, jeżeli nie na świecie. I nie tylko Warszawska Jesień o tym decydowała z dumą i chlubą narodu Krzysztofem Pendereckim (nawiasem mówiąc jestem słuchaczem stałym radiostacji muzyki klasycznej w Australii i słyszałem Pendereckiego tylko raz, ale owszem Chopen się bardzo sprawdza).

O czym marzą artystyczni Polacy w Australii. O pieniądzach? Nie, ponieważ życie materialne w tym kraju jest zupełnie znośne. Marzą o wizycie polskiego obrotnego dziennikarza, najlepiej obrotnej dziennikarki, która opublikowałaby o nich materiał w jednym z kolorowych pism. W kraju jest ich ponoć zatrzęsienie, a publikowane teksty nie dotyczą realnych problemów, tylko wydumanych.

Jazz romantyczny



Adam Fiala

Felieton muzyczny 1

Wszystko co poważne lubi się zaczynać od nonsensu bądź banału. Ponoć jako dziecko gdy słyszałem gwizdzącego wuja Gieńka to płakałem. Wuj grał także na trąbce, była złocista, później kojarzyłem ją z trąbką Luisa Armstronga.

Ale pierwsze lekcje gry na pianinie, wyszabrowanym przez ojca na Ziemiach Zachodnich rozpocząłem już jako uczeń czyli przekroczyłem wiek niezbędny dla tak zwanego cudownego dziecka. Robiłem szybkie postępy, ale nauka prywatna ma to do siebie, że nauczyciel skupia się na samej grze, pomijając zupełnie teorię muzyki. Obecnie więc jestem rodzajem kompozytora, który wprawdzie potrafi przeczytać nuty ale nie jest zdolny by ją napisać. Robiłem wtedy tak szybkie postępy mając naturalną łatwość poruszania na klawiaturze palcami, że wkrótce potrafiłem zagrać nie tylko wczesne Polonezy Fryderyka Chopina, tak zwane *juvenalia* ale dorwałem się do Mazurków. Łatwo było wtedy kupić całkiem tanio pięknie wydane zbiorowe

dzieła tego kompozytora pod redakcją Józefa Ignacego Paderewskiego.

Wuj Tadeusz, adwokat, dzięki któremu odbywałem te lekcje spojrzął na Mazurki i powiedział, że mogę je łatwo grać bo zapis nutowy nie jest zbyt czarny. Wuj był rozkosznym dyletantem w dziedzinie sztuki i znakomitym adwokatem w tym sensie że przepadali za nim klienci. No i wygrywał sprawy, pobierając pieniądze, które mu się naprawdę należały. W tym okresie adwokaci pracowali w tak zwanych zespołach, Wuj nazywał je zespołami. Nie miał całkowitej racji. Mazurki były tylko pozornie łatwe. Akordy lewej ręki harmonizującej z prawą, obejmowały ilość klawiszy, zarówno białych jak i czarnych, przekraczając możliwości moich rąk. Obecnie znawcy także twierdzą, że Mazurki przez swą pozorną prostotę są bardzo trudne interpretacyjnie.

Tak więc grałem lepiej czy gorzej głównie Chopina, a potem miałem bardzo długą przerwę i wróciłem do muzyki kiedy przypadkowo znalazłem w Perth na dorocznej wystawce rzeczy zbędnych zupełnie dobry keyboard. Oczyszcziłem, włożyłem baterie i *voilà*. Instrument miał to do siebie, że nie wymagał strojenia. Moje dawne pianino było koszmarnie rozstrojone, ktoś twierdził, że nadawało się do muzyki w barach czy saloonach. I to mnie zastanowiło. Postanowiłem stworzyć coś w rodzaju Jazzu romantycznego, paradoksalnie nawiązującego do muzyki Chopina. Wydaje się to nonsensem. Niezupełnie. Kiedyś w jednej z muzycznych audycji telewizyjnych zauważyłem jak Duke Ellington uderzył kilka akordów i powiedział: "ale to jest poezja".

Felietonistka z pazurem



Krystyna Cywińska

Grzegorz Małkiewicz

Krystynę Cywińską poznałem osobiście pod koniec ubiegłego wieku, kiedy rozpocząłem współpracę z „Tygodniem Polskim”, sobotnim wydaniem „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza”. Była filarem gazety. Na jej felietony czekali zarówno ci, którzy zwykle zgadzali się z jej punktem widzenia, jak i zapiekli adwersarze. Ogromna wiedza, doświadczenie, kultura literacka i osobista oraz żywy język sprawiają, że intelektualne i polityczne spory z Krystyną Cywińską należą do największej przyjemności i w niczym nie przypominają wszechobecnej w polskiej debacie publicznej agresji.

Krystyna Cywińska jest felietonistką rasową, z bardzo ostrym pazurem, z wrodzonym darem polaryzowania postaw, pozbawionym moralizatorstwa. W swoim

charakterystycznym, wyostrzonym stylu komentuje wydarzenia polityczno-społeczne od ponad 50 lat. Nie zawsze są to wydarzenia z pierwszych stron gazet, bardzo często dotyczą życia Polaków na Wyspach Brytyjskich. Pretekstem może być najmniejszy, mało zauważalny przez innych fragment naszej, często banalnej rzeczywistości. Dzięki tej różnorodności tematycznej, bliskości środowiskowej (możemy się w felietonach Krystyny Cywińskiej przeglądać i rozpoznawać) powstał poważny dorobek prozatorski, świadectwo epoki, który nie traci nic ze swojej aktualności i literackiej finezji. To duże osiągnięcie, bo felieton jako gatunek prasowej wypowiedzi, ma zwykle krótkie życie, podobnie jak wydarzenia, do których nawiązuje.



Krystyna Cywińska, rysunek.

Krystyna Cywińska felietonowy styl rozpoznała bezbłędnie. Wie, że o czytelnika musi walczyć, że wypolerowany przekaz to śmierć felietonu, tak samo jak nachalne ideologiczne zaangażowanie. Wybitny słuch językowy pozwala autorce przełamywać bariery pokoleniowe, o czym przekonałem się, redagując „Nowy Czas”, w którym zaczęła publikować swoje teksty kilka miesięcy po założeniu pisma. Stała się mostem, jaki od początku naszej działalności wydawniczej próbowaliśmy budować między emigracją niepodległościową, przebywającą w Wielkiej Brytanii od czasów wojny, a nowym pokoleniem przybyszów z Polski. Zdobyła wielu nowych czytelników spośród młodej generacji, zatrzymując jednocześnie tych, którzy kiedyś czytali ją na łamach „Tygodnia Polskiego”.

Mimo 90. rocznicy urodzin jej znakomita pamięć, językowa ekwilibrystyka, poczucie humoru i bystry zmysł obserwacji w zmieniających się szybko czasach powodują, że na jej felietony nadal czekamy z niecierpliwością. Krystyna Cywińska jest niewątpliwie legendą (niestety, ostatnią z żyjących) polskiego dziennikarstwa na Wyspach Brytyjskich. Prezydent Andrzej Duda odznaczył ją Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Order wręczył Jubilatce Adam Kwiatkowski, Sekretarz Stanu w Kancelarii Prezydenta RP odpowiedzialny za kontakty z Polonią i Polakami za granicą w sobotę 15 października 2016 r., przed premierą „Zemsty” w Teatrze POSK-u.

„Nowy Czas”, Londyn, nr 5/223, 2016

Karuzela z sympatiami



Londyn, Wielka Brytania.

Krystyna Cywińska

Różne rzeczy się pisze i mówi o nowych przybyszach z kraju. Ale jakoś nikt nie pisze o tym, że zdołali dokonać tego, co nam się przez lata nie udawało. Nam, czyli starej polskiej emigracji. Choć się bardzo o to starała. Pozyskać tutaj takiego jak ci nowo przybyli uznania jednak nie pozyskała. I docenienia ich wkładu w tutejsze życie codzienne. Nas tu po wojnie ledwo zauważano. Bywało, że lekceważono. Niedoceniano. Przedrzeźniano nasz akcent: *zenk ju wery mucz*.

Wyśmiewano nasze maniery. Te rączki całuję. I tę całą naszą galanterię. Wykpiwano nasz hurrapatriotyzm i obsesję narodowego męczeństwa. Nie byliśmy tu zbyt popularni. Ci śmieszni Polacy w demobilach, w żółtych butach, z teczkami na zakupy.

A przecież zaraz po wojnie stanęliśmy do odbudowy tego kraju. Z żołnierzy walczących o wolność staliśmy się armią robotniczą. Białymi murzynami do wszystkiego. I kością niezgody w związkach zawodowych. Tych zaklętych rewirach zamkniętych dla obcych, najczęściej dobrze wykwalifikowanych sił. Jak się do związku nie należało, nie można było dostać lepszej pracy. A żeby się do związku dostać, trzeba było dostać tę lepszą pracę. Tak było przez wiele lat królowania związków zawodowych pod berłem królowej.

Powstały więc polskie robotnicze brygady. Srebrna brygada - począwszy od generała w dół - pucowała srebra w hotelach. Przypomnę, że gen. Stanisław Maczek, osławiony dowódca I Dywizji Pancerniej, uwielbiany przez swoich żołnierzy, był barmanem. Gen. Klemens Rudnicki, Generalny Inspektor Sił Zbrojnych, kurierem wycieczek po Europie. Gen. Stanisław Sosabowski, twórca 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej - magazynierem. Niegdysiejsi ministrowie i posłowie do Sejmu II RP pracowali w fabryce biskwitów. Oficerowie z cenzusem stali na straży w muzeach. Byli dozorcami w magazynach i biurach. Kelnerami w restauracjach. Ci niżsi rangą wyrąbywali węgiel w kopalniach i orali twardą glebę. Inni zabrali się za rzemiosło. Hydraulików, szwaczków, pokojówek i kucharek było bez liku. A podziemia kolejki londyńskiej pełne były zamiataczy z dyplomem. Ale jakoś tego nie zauważano, ani nie doceniano, ani z uznaniem nie pisano. Nie mieliśmy dobrej prasy. Raczej negatywną, bo byliśmy politycznie niewygodni. Polska się nie liczyła. Polacy też. A

emigracyjni politycy byli tu solą w oku. Z czasem, uporczywie kując, wyrąbaliśmy sobie chodniki akceptacji. Ale było nas już wtedy niewielu. Takie uznanie dla odchodzącego gatunku.

Przyszedeł rok 2004. Fala masowej emigracji i Polacy znów stali się białymi murzynami. Z tą różnicą, że od razu oficjalnie docenianymi, chwalonymi, pożądanymi. Opisywanymi w prasie i pokazywanymi w telewizji. *They blend with the landscape*. Mieszkańcy wioski pod Yorkiem znów mają na śniadanie świeże bułeczki wypieczone przez polskiego piekarza i sprzedawane przez polską *pretty girl*, która nawet z angielskim sobie radzi - jak pokazywano w telewizji. Polska *cleaning lady* o rumianych policzkach - jak pisał „Daily Telegraph” - wpisała się w cywilizację brytyjskich domów. Bo dobrze je sprząta i czyści. Polski osławiony *plumber* ratuje te domy od zalewu. Polski *builder* ratuje je przed ruiną. To byłby dopiero lament i dramat, gdyby ci polscy biali murzyni wrócili do kraju! Żeby się tam przefarbować na adwokatów, architektów, bankowców i wykładowców. No, co by to było!?

Nikt kilka lat temu w takie hipotetyczne gdybania się nie zabawiał. Aż przyszedł niejaki Brexit i zdarł kurtynę hipokryzji. Bo owszem, niech dokręcają te krany, wymiatają kurze i stoją rzędem na taśmie produkcyjnej. Ale przecież zabierają nam miejsca w szpitalach, wydłużają kolejki do GP i biorą zasiłki na dzieci, które zostawili babciom w Polsce. Nas po wojnie odsyłano do kraju. Tę zadrę za polityczną skórą. Nowych przybyszy się kokietowało w politycznie poprawnych czasach. Czy teraz zatrzasną się przed nimi Brexitowe wrota? Aż krany znów zaczną cieknać, domy popadać w ruinę, a mieszkańcy wioski pod Yorkshire zaczną znów jeść odmrażany chleb?

Taką ot snuję ponurą wizję, w którą wolę nie wierzyć. Nie chciałabym się raz jeszcze zawieść w miłości w moim wieku. Tym razem do kraju, który mnie tu jednak przygarnął.

„Nowy Czas”, Londyn, nr 1/226, 2017.